

Zagłada w muzyce i rysunkach dzieci

Stworzenie musicalu o życiu Ireny Sendlerowej było ryzykownym pomysłem, ale końcowy efekt okazał się zaskakująco ciekawy.

JACEK MARCZYŃSKI

Premiera „Ireny” miała odbyć się w Nowym Jorku, ale uniemożliwił to pandemiczny lockdown i musical wystawił poznański Teatr Muzyczny. Teraz ta inscenizacja miała warszawską premierę. Nie traktujmy powikłanych losów utworu jako kolejnej nieudanej próby podbicia przez nas Broadwayu, doceniśmy, że to pierwszy tak poważny amerykańsko-polski projekt musicalowy, zrodzony na dodatek nie z naszej inicjatywy.

O działalności Ireny Sendlerowej, która w czasie wojny uratowała kilkaset żydowskich dzieci, w Ameryce stało się głośno za sprawą szkolnego przedstawienia uczennic ze stanu Kansas, które zrobiło furorę. Potem Mary Skinner nakręciła znakomity dokument o Sendlerowej i napisała (z Piotrem Piwowarczykiem) libretto, prosząc o teksty do piosenek laureata nagród Grammy i Pulitzera Marka Campbella. A muzykę skomponował inny zdobywca Grammy Włodek Pawlik.

Pomysł wydawał się karkołomny, ale współczesny musical jest w stanie opowiedzieć o wszystkim, nawet o Holocauście, czego przykładem wystawiony w 2013 roku w Białymstoku brytyjski „Korczak” Nicka Stimsona i Chrisa Williamsa. „Irena” kojarzy się także ze słynną „Evitą”, w której wielkie problemy świata spletają się z przeżyciami niefikcyjnej bohaterki.

W „Irenie” dramaturgicznie opartej na retrospektywnych wspomnieniach Ireny Sendlerowej tragizm zagłady przeplata się z prywatnymi drama-

tami. W odróżnieniu jednak od większości musicali nastawionych na widowiskowość („Korczak” wymaga czterdziestki dziecięcych wykonawców) tu liczą się intymność i kameralność.

Twórcy słusznie uznali, że nie da się pokazać losów wszystkich żydowskich dzieci, skupili się na Icku Gryndbergu i jego matce, która została w getcie. Ich tragedia jest wpisana w historyczne tło, podobnie jak tytułowa bohaterka, obecna, co prawda, niemal cały czas na scenie, ale nigdy nadmiernie nieekspozowana.

Spektakl operuje skrótem, metaforą, co silniej przemawia niż teatralny pseudorealizm. Duże wrażenie wywiera scena spotkania Sendlerowej z Januszem Korczakiem, gdy za Doktorem i grupką dzieci zamyka się ciemna ściana, a na niej dziecięce rysunki dymiących kominów. Reżyser Brian Kite i scenograf Damian Styrna (kolejny amerykańsko-polski duet) rozegrali wszystko w bardzo prostych, umownych dekoracjach, nakładając na nie rysunki i komentarze tworzone jakby przez dzieci. Bo to one obok Ireny są najważniejsze w tym musicalu.

W muzyce Włodek Pawlika mamy typowy dla niego jazzowy klimat, ciekawe rozwiązania harmoniczne, a świetne aranżacje zrobił Łukasz Pawlik. Wszystkie songi mają jednak dość jednorodny charakter, zatem w połowie spektaklu zaczynamy rozumieć, że muzycznie „Irena” już niczym nie zaskoczy.

Za to do końca umiejętnie buduje napięcie zespół poznańskiego Teatru Muzycznego na czele z Oksaną Hamerską (ważna w jej dorobku kreacja Ireny Sendlerowej), Anną Lasotą (Gryndbergowa), Radosławem Elisem (Adam) i małym Adamem Hamerskim (Icek). /©©



Oksana Hamerska (stoi) jako Irena Sendlerowa w musicalu „Irena”